Nr 40. Kraków, 3 Października 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

# KRAKUS

Prenumerata wynosi

**w Krakowie**

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

**z przesyłką pocztową**

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

## Nowe bałamuctwa.

Jest przysłowie polskie bardzo prawdziwe: *Boże chroń mię od przyjaciół, bo od nieprzyjaciół sam się obronię.*

Prawda, że bez dobrego przyjaciela trudno sobie we wszystkiem poradzić, bo przecież *co głowa to rozum.* Dobra rada zawsze się przyda. Ale jeżeli naraz człowiekiem zaczną się wszyscy opiekować, każdy radzi co innego, a każdy się mieni przyjacielem, to trzeba być bardzo ostrożnym, bo — co najmniej — to te rady tak człowiekowi głowę zabałamucą, że już i prawdy jasno nie zobaczy.

Teraz taki czas nastał, że się miastowi ludzie, a zwłaszcza młodsi, bardzo zaczęli opiekować włościanami. Może niejeden z nich chciałby dobrze, ale cóż kiedy oni nie znają ani życia włościan, ani ich potrzeb. Naczytają się różnych książek i co im się w nich spodoba, to włościanom radzą. A między włościanami trafiają się i tacy, co uwierzą, dadzą się zbałamucić, a potem sami już dalej bałamucą.

Tak się też stało, że czterech włościan z powiatu krakowskiego: Karol Stępień, Michał Malek, Aleksander Dąbrowiec i Józef Krzemień podpisali i ogłosili *Odezwę do braci włościan,* w której radzą włościanom, żeby wnosili żądania do Sejmu krajowego, żeby urządzali „wiece“ to jest zgromadzenia włościańskie i uchwalali potrzeby na radach gminych.

Co się tyczy rad gminnych, to przecież one na to są, żeby uchwalały potrzeby gminy i uchwalają — na to nie potrzeba żadnej „odezwy“.

„Wiece“ czyli zgromadzenia może byłyby i niezłe, żeby tak był czas na to wolny, i żeby można wiedzieć na pewno, że człek tam co mądrego usłyszy. Ale cóż kiedy owa „odezwa“ postawiła aż dwadzieścia cztery punkta, a gdy się je wszystkie przeczyta, to się nie bardzo chce wierzyć, żeby się tam na wiecu czego mądrego nauczyć. A już żeby z tego co naprawdę było, to się chyba nikt nie doczeka.

Ci czterej włościanie, co „odezwę“ podpisali, zapomnieli, że *nie odrazu Kraków zbudowano.* Oniby chcieli naraz wszystko zmienić i gminę i powiat i sądy. Chcą mieć dla gmin doktorów i budowniczych i różne inne rzeczy. Ale nic o tem nie mówią, co to będzie kosztować i kto da na to pieniądze? Ale i nad tem się nie zastanowili, czy takie rzeczy dadzą się u nas przeprowadzić?

Zresztą co się tyczy wymienionych spraw, to rzecz wiadoma, że Sejm krajowy oddawna o nich myśli, i jeżeli do tego czasu jeszcze ich nie załatwił, to właśnie dlatego, że one są bardzo trudne, i że idzie o koszta. Bo trzeba zawsze wprzód wiedzieć dokładnie, czego się chce, wyrobić projekt do nowej ustawy, a dopiero wtenczas można obrachować, jakie będą ztąd koszta i czy będzie z tego pożytek. Wtenczas dopiero czas powiedzieć, czy taki projekt jest dobry czyli nie. Ale tak bez niczego napisać tylko ogólnie, jak „odezwa“, że co 100 gmin to będzie powiat, że co 10 gmin to będzie doktor i t. p., to bardzo łatwo bałamucić, ale to nie jest prawdziwie pożyteczna rada.

Albo n. p. „odezwa“ żąda, żeby każda rada gminna wybierała sąd gminny, któryby obowiązany był załatwiać wszelkie spory ustnie.

Ale jakżeż to? czy to już oprócz tych sądów gminnych nie będzie żadnych innych w kraju? jakież spory mają do nich należeć? kto ma być sędzią? kiedy sędzia ma urzędować, czy przez cały dzień zawsze, czy tylko w niektóre dnie? a kto będzie opłacał sędziów i kancelaryę — czy gmina, czy może kto zechce sądzić za darmo? a jeżeli sędzia krzywdę wyrządzi komu, to gdzież się ma udać po sprawiedliwość? To łatwo jest ludzi zabałamucić, ale gdy przyjdzie do roboty, to się dopiero pokaże, jaka jest trudność.

A potem i to nic nowego. Koło poselskie polskie we Wiedniu dawno o polepszeniu sądów myśli i nad tem pracują ludzie, co się tych rzeczy uczyli i znają je dobrze.

Bo trzeba wiedzieć, że sądownictwo nie należy do Sejmu naszego we Lwowie, tylko do Rady państwa we

Wiedniu. Więc na to, żeby zrobić jaką zmianę w sądach, potrzeba, żeby się zgodzili: Najjaśniejszy Pan i rząd i posłowie ze wszystkich krajów, a nietylko z naszego jednego.

Nareszcie „odezwa“ czterech włościan powiatu krakowskiego proponuje założenie funduszu asekuracyjnego dla każdego powiatu. Polowa tego funduszu ma iść: na wynagrodzenie w razie pogorzeli, na zaliczki na budowę domów, na zakupno zboża i na utrzymanie budowniczego. Druga zaś polowa ma iść: na koszta kuracyi, gdy kto zasłabnie, na zaopatrzenie wdów i sierót, na pożyczki dla zakupna gruntów.

Każdy z nas czuje doskonale potrzebę asekurowania od ognia budynków. Dzisiaj nie każdego włościanina stać może na to, bo opłata jest właśnie na wsi wyższa aniżeli w mieście. Ale gdyby wszyscy właściciele budynków w całym kraju opłacali na asekuracyę, to z tego zbierze się tyle, że na każdego opłata przypadnie niewielka, a fundusz ogólny wystarczy na wynagrodzenie każdej pogorzeli. To też Sejm krajowy uchwalił przed kilku laty taką ustawę. Ale że i ta sprawa musi być załatwioną wprzód we Wiedniu i w innych krajach także się dopominają o podobne ustawy, więc Koło poselskie polskie we Wiedniu stara się ciągle u rządu o to. To też Najjaśniejszy Pan w ostatniej mowie tronowej zapowiedział, że rząd wniesie ustawę o przymusowej asekuracyi. Gdy taka ustawa, jaką Sejm nasz już uchwalił, wejdzie w życie, będzie to wielkiem dobrodziejstwem dla włościan.

Ale żeby z funduszu asekuracyjnego dawać zaopatrzenia dla wdów i sierot, zaliczki na domy i grunta i t. p. — jakiż to ogromny fundusz potrzebny na to? A któż ma na niego płacić? Według „odezwy“ obywatele gminy! To piękna rada, żeby do dzisiejszych ciężarów dodawać Bóg wie jak wysokie nowe i na co? na zaopatrzenie wdów i sierot? — To znaczy, że co który włościanin więcej się napracuje przez całe życie, to się też i więcej napłaci na cudze wdowy i dzieci — a dla swoich nic ztamtąd nie weźmie, bo gdy Bóg jego pracy poszczęści, to zaopatrzy sam własną wdowę i dzieci. A co który włościanin więcej się naprózniaczy przez całe życie i naleniuchuje i namarnuje, to tem pewniej z cudzej pracy wdowę i dzieci zaopatrzy.

I to ma być przyjacielska rada dla włościan? Zamiast nawoływać i dopomagać do oświaty, nauki, moralności, uczciwości, pracy i oszczędności, to się wymyśla sposoby, które zachęcają do próżniactwa, marnotrawstwa i lekkomyślnego oglądania się na cudzą pomoc!

I kto może uwierzyć, że ci czterej włościanie wymyślili tę „odezwę“ ze swojej głowy? przecież oni rozumieją to dobrze, że staranie o wdowę i sieroty, to jest jeden z pierwszych obowiązków każdego ojca rodziny i jeden z najmocniejszych bodźców do wytrwałej pracy i do oszczędności dla każdego człowieka przez całe jego życie.

Ale w tej „odezwie“ są jeszcze i różne inne bałamuctwa. Naprzykład w punkcie 16-tym żądają, żeby każdą opłatę rządową uiścić zaraz przy sprawie w stemplu. Ba! dobrze to mówić takiemu, co ma zawsze grosz gotowy w kieszeni. A jeżeli kto niema pieniędzy na stempel, to ma czekać ze sprawą tak długo, dopóki nie będzie miał pieniędzy? To przecież dzisiaj jest — cięż-

# Pan Grzegórz.

Opowiadanie podróżnego Węgra.

(Ciąg dalszy).

Tym sposobem więcej jak godzinę gnaliśmy jeden za drugim, ale z przerażeniem spostrzegłem, że odległość między mną a panem Grzegorzem coraz skraca się, co chwila spodziewałem się ciosu jego. Drogi pan Grzegórz wzniósł właśnie prawicę z kijem, żeby ją spuścić na mnie, gdy wtem — w mgnieniu oka — zrobiwszy jeszcze jeden szalony skok, nie znalazłem gruntu pod nogami, gdyż ten, na któryśmy wpadli, zaczął się uginać jak trzęsawisko i nareszcie ciemność zupełna otoczyła mnie naokoło, a ja znalazłem się na dnie jakiejś przepaści i tym sposobem zniknąłem z przed oczu pana Grzegorza; on nie miał nawet czasu dziwić się temu, gdyż i jemu jakby poderwano ziemię z pod nóg — nie był w stanie wstrzymać się w rozpędzie i wpadł do głębokiej jamy. Zupełna ciemność była wokoło nas — ciemność tak gęsta, żeby ją można do worka łyżką pakować.

— Ach! Panie Boże mój — jęczał — już em zgubiony! umarłem! — biada grzesznej mojej głowie! O! nieraz mnie upominał proboszcz, żebym nie klął, teraz czort moją duszę weźmie, a na dno piekła mnie już odniósł — a jak upatrzył chwilę, kiedy umysł mój był zapalony gniewem przeciw bliźniemu. Panie Zastępów, zmiłuj się nademną — ten jeszcze tylko raz mi daruj — nie będę już więcej grzeszył przeciw Tobie, nie będę więcej klął, nie będę więcej chodził, gdzie zakazano — zapłacę dziesięcinę, którą jeszcze jestem dłużny — oddam moją córkę jej ulubionemu — tylko nie dopuść Panie, żebym marnie zginął! — Panie! a Stworzycielu mój!

Dobry Pan drżał jak osika, byłby się modlił, ale nie umiał — ze strachu szeptał „Wierzę w Zmartwychwstanie“ i ani rusz dalej, jakby uciął.

Pyszną miałem okazyę słyszeć to wszystko jak najwyborniej — gdyż obadwaj znajdowaliśmy się na dnie ogromnej wilczej jamy; albowiem wpadłszy na po-

ko co prawda, bo opłaty są duże — ale przynajmniej o tyle lepiej, że jak nie mam zaraz czego zapłacić rządowi, to sprawę tę mi załatwią, a później przyszlą mi nakaz z kasy. Do tego czasu mogę się o pieniądze postarać. Jakby „odezwa“ stała się ciałem, to tylko bogaci włościanie mogliby się dostać do urzędów, wtedy, gdy mają jaką sprawę, biedni zaś musieliby najpilniejsze sprawy tak długo w domu dusić, dopóki nie zarobią na stempel. To piękna rada!

Więc to same bałamuctwa dla włościan przynosi ta nowa „odezwa“ i szkoda tylko, że się pod nią podpisali włościanie.

Jeżeli ich rozum na lepszą radę nie stać, to niech się w opiekunów ludu nie bawią.

Co się tyczy Sejmu krajowego, to będzie on zwołany w połowie grudnia i będzie trwać do końca stycznia. Jeżeli Wydział krajowy przedłoży Sejmowi jaką sprawę włościańską, to wtenczas będzie się widziało, co to jest za projekt i dosyć będzie czasu, gdyby komu myśl dobra o tej sprawie przyszła, tę myśl wyjawić. Ale daj Boże włościanom, żeby to były lepsze i mądrzejsze myśli, aniżeli te, które ci czterej włościanie w swojej „odezwie“ spisali.

*Stanisław z Woli Justowskiej.*

---

# O gospodarności w obrębie gminy

opowiedział

Kazimierz Langie.

## *XIV. Ustalenie własności.*

„Ziemi raz wyrównanej, spulchnionej, umierzwionej, z krzaków i chwastów oczyszczonej, żal już było ludziom porzucać. Przytem poznali, że mając żywność zapewnioną z ziarna i mniej już potrzebując mięsa, mniejszemi odtąd koło domu obywać się mogą trzodami. Więc znowu rozmnożeni ludzie rozdzielali się: Jedni, którym się życie koczownicze i ciągła włóczęga sprzykrzyła, woleli z cząstką bydła zostać na miejscu i pracą rąk dorabiać się chleba. Inni, którym dawne próżniacze życie podobało się lepiej, poszli z resztą bydła szukać pastwiska dalej.

„Na miejscu osiadli rolnicy pomyśleli teraz o wygodniejszych dla siebie mieszkaniach. Gdzie był blisko las, to z drzewa — gdzie go nie było, to z kamienia — gdzie i tego brakło, to z ziemi — budować sobie zaczęto chaty, na których długo jeszcze ze skór bydlęcych były robione dachy, bo nie umiano zrobić ich z czego innego. Z czasem poznał człowiek i to, że skóry na coś lepszego się przydadzą, a że słoma mocno w kiczki wiązana i ciasno ułożona, przykryje dom równie dobrze od słoty. Koło chat porobiono dla bydła zagrody, żeby się nie rozbiegało po stepie. Latem pasiono je w pobliżu

---

most z gałęzi popruszonych ziemią jako pułapka, obydwa tam wpadliśmy — ale ja dawno się opamiętałem; przeciwnie pan Grzegórz nie umiał jakoś wytłómaczyć sobie tego wypadku. — Jama ta była głęboka więcej jak na dwa sążnie i wybornie służyła dla nas obydwóch za areszt.

Pan Grzegórz modlił się tedy; nie miałem więc czego obawiać się od niego, tylko to mi tkwiło w głowie, ażeby czasem pomiędzy nas nie wpadł wilk, a mnóstwo ich włóczyło się w okolicy.

Myślałem sobie: przyjdzie wilk, to mnie zeżre, czy się będę bał, czy nie — nie przyjdzie, to mnie nie zje — i tym sposobem uspokoiłem się zupełnie. Wyjąłem z kieszeni fajeczkę i kapciuch z tytoniem, a ponieważ w przeklętej tej jamie mnóstwo było komarów, więc nabiłem fajeczkę, zapaliłem, a kurzyłem w prawo i lewo co sił.

— Ale nas zbaw ode złego! zawołał podskoczywszy pan Grzegórz, kiedy uczuł dym i zobaczył ognik.

Ponieważ ja milczałem, to słyszałem, jak zęby kłapały ze strachu memu towarzyszowi. Niech się trochę nastraszy, pomyślałem sobie, a ciągnę aż do ostatniej iskry. Ponieważ jama nie była tak przestrona żeby w niej można tańczyć, a pan Grzegórz machnąwszy kijem ugodził mnie potężnie, że aż mi się w oczach zaiskrzyło — musiałem więc przemówić:

— Nie trzeba wam się panie Grzegorzu niepokoić — co się stalo, to się stało — dlatego nie potrzebujecie człowiekowi zębów wybijać.

— Ależ synku — woła uradowany — synku Piotrusiu, żyjesz ty tedy? a cóż i ty się tu znajdujesz?— niebu niech będzie chwała, żeśmy razem — jakim sposobem my się tu dostaliśmy?

— Tak jak deszcz z nieba spadliśmy — chwała Bogu, żeśmy cali.

— Gdzież my jesteśmy tedy?

— W wilczym dole.

— We wilczym dole! a niech tysiąc piorunów....

— Panie Grzegorzu! nie tak ostro klnijcie, bo przed chwilą ślubowaliście nie kląć nigdy.

— Co przed chwilą? przed chwilą nie wiedziałem, że jestem w wilczym dole, myślałem, że się znajduję

a na zimę słomę i siano chowano w stertach dla niego.

„Dalej nauczył się człowiek osiadły rozcierać ziarna na mąkę, a z niej wypiekać placek i chleb; z roślin rozmaitych otrzymywać włókno, a z niego znowu robić nici, sznury i tkaniny. Podobnież wełnę owczą nauczył się człowiek prząść i robić sobie z niej odzież. Grzebiąc w ziemi odkrył w niej różne rudy, które topiąc w ogniu otrzymywał metale: najprzód poznał cynę i miedź, później nauczył się wytapiać żelazo. Z metalów tych nauczył się przemysłem i dochodzeniem wyrabiać rozmaite narzędzia, które mu pracę około ziemi ułatwiały i w innych czynnościach wielce pomocnemi były. Z żelaza zrobił sobie siekierę, dłuto i nóż — miał czem bez mordęgi wielkiej drzewo ciosać, zwierzę zakłuć i siebie obronić w potrzebie. Z żelaza zrobił też motykę i rydel, czem ogromnie ułatwił sobie spulchnianie ziemi, nie musząc już jak dawniej kijem i palcami w niej dłubać... A kiedy jeszcze później sochę i pług wymyślił i zwierzęta doń zaprzągł, to już ulgę wyświadczył sobie setną — i mógł teraz dziesięć razy tyle pola uprawić, niż dawniej dziesięcioma palcami.

„Łatwo to dzisiaj — mówił Janek — w jednej godzinie albo w dwóch opowiedzieć wam: jak człowiek ten dawny rozumem, przemyślnością i pracą dorabiał się tych wszystkich rzeczy po trochu i dolę swoją coraz poprawiał. Ale pomyślcie jeno, ile to pokoleń minąć musiało i jedno drugiemu myśli i doświadczenia swoje przekazywać — i wiele to czasu upłynąć musiało, nim oni ludzie dawni na wszystkie pomysły owe przyszli, nim je wykonać i spraktykować potrafili — i wiele to biedy, nędzy, głodu i znoju przenieść musiał ród ludzki, nim z dzikiego myśliwca i z na pół dzikiego włóczęgi pasterza, przeistoczył się nareszcie w osiadłego rolnika.

„Praca milionów ludzi i tysięcy pokoleń składała się na to wszystko, co nam dzisiejszym rolnikom służy, co my na świat przychodząc zastajemy już w koło siebie gotowe, wymyślone, wypróbowane i zrobione. To też dzisiaj, gdy pomyślimy sobie o onych pierwszych rolnikach przedwiecznych, którzy dopiero co z pasterskiego życia na rolnictwo się przerzucili, wydawać nam się oni muszą wielkimi nędzarzami... I tak było w istocie, w porównaniu z nami dzisiejszymi ludźmi. Ale w porównaniu z tymi, co żyli z nimi współcześnie, a jeszcze roli uprawiać nie umieli — byli owi rolnicy już *bogaczami* całą gębą.

„Widzieliśmy, że czlek, co z samego polowania żył — nie miał własności żadnej: co zabił dziś to i zjadł, resztę rzucał, bo ani schować nie miał gdzie, ani nosić ze sobą długo nie mógł.

„Pasterz niby to już posiada coś na własność, bo ma owce, krowy i konie. Ale własność to bardzo niepewna i utrzymanie życia niepewne: dziki zwierz pomimo czujności pasterzy i psów chwyta mu i rozdziera jedne sztukę po drugiej. Myśliwcy rabusi wpadają i zabierają niekiedy wszystko, co długim mozołem sobie przychował. Wreszcie wędrować musi dniami i nocami za paszą: zabłąkał się nieraz w pustyni, zalazł na grzęzkie moczary, zgubił bieg rzeki, nie znalazł wody, nie znalazł paszy, i wyzdychała mu trzoda, która całem jego była bogactwem. I znowuż biedny pasterz od po-

---

w nierównie porządniejszem miejscu; a niech trzykroć sto tysięcy djabłów weźmie tego, kto tu wykopał wilczy dół — jak się wydostaniemy na wierzch? — niech czort weźmie, bodaj przepadł. — Długo tak burczał, aż nakoniec obróciwszy się do mnie rzekł:

— Synku, pójdź do mnie — stań tutaj — wstąpię na twoje ramiona, a jak się wydobędę, to i ciebie wyciągnę.

— Dobrze.

Wstąpił na moje ramiona, aż się wygiąłem — ale dopiero zaczął sypać gromami, poznawszy, że ani podobieństwo się wydostać.

— Ale panie Grzegorzu, nie róbcie takiego hałasu, teraz jest noc, moglibyście przywabić wilki, a nie zostawiłyby z nas i kości, a włóczy ich się mnóstwo — lepiej będzie, kiedy spokojnie usiędziecie, a ja z wami będę rozmawiał.

Zlazł — mruczał — i usiadł.

— Co tu mam robić do rana! Komary mnie zagryzą — tak mnie szczypią, że myślę, iż czorci mnie kłują żelaznemi widlami.

— Uczyńcie tak jak ja — zapalcie fajkę i nie dbajcie na świat i komary.

— A! to ty jesteś jak się patrzy chłopak — zrobię, jak mówisz — tylko nie mam czem ognia skrzesać — co to jest tutaj? Nadeptałem pod nogami coś białego?

Była to zdechła gęś, położona na przynętę wilków na jamie, co teraz razem z nami zleciała do piekła.

— Wyrzućmy ją, od niej to tak śmierdzi i ona przywabia tyle komarów — to mówiąc, porwał ją i cisnął do góry, lecz otwór jamy był dosyć wąski, gęś spadła napowrót i ugodziła pana Grzegorza w sam nos.

— A niech ją! zawołał i znowu cisnął do góry; gęś znowu spadła na jego głowę. — Karpackie góry i lasy! zaklął — synku mój, sprobój no ty!

Dosyć łatwo przyszło mi ją wyrzucić. — Wtenczas usiedliśmy sobie i zaczęli dumać.

*(Dokończenie nastąpi.)*

czątku dorabiać się musi, albo z głodu napowrót myśliwskiego imać się musi rzemiosła.

„Inaczej *rolnik*. Ten zrozumiał, że do bogactw surowych, jakie Pan Bóg rozsiał w przyrodzie, człowiek dołożyć musi ciężką, wytrwałą i przemyślną pracę, by te bogactwa trwale sobie przyswoić. On też pierwszy dopiero przestał cierpieć głód i on pierwszy posiadł *ustaloną własność*, którą mógł dzieciom swoim przekazać.

„On z doświadczenia już wiedział, że jednego roku urodziło mu się więcej, innego mniej — więc z roku na rok zachowywał sobie od wypadku i ziarna trochę i przędziwa i skór. Stawiał chatę, która na lat kilkadziesiąt wystarczyć mu miała. Robił sobie narzędzia i sprzęty, które wiek jego przetrwały. Przychowywał bydlęta nie tak na los szczęścia, jak koczowniczy pasterz, lecz pod ochroną ogrodzenia i dachu, karmiąc z ręki, osłaniając przed słotą, przed napaścią, przed mrozem i przed głodem. To też przychowywał ich więcej niż zużytkować mógł, i dzielił je między dzieci przy śmierci. To wszystko było jego *własnością*, jego *bogactwem*, jego *oszczędnościami* z lat dawniejszych na lata przyszłe.

„Toż nie dziw, że ludzie, którzy często bywali głodni i własności żadnej prawie nie posiadali, którym pracować się nie chciało a oszczędzać nie umieli — zazdrościli rolnikom ich dostatków i próbowali im je wydzierać.

„Gdy uznojony pracą rolnik odpoczywał po trudach, myśliwcy i pasterze napadali go nocą bandami całemi, kradli mu zboże zachowane, kradli mu bydło, zabierali narzędzia, jakie sobie porobił, a nierzadko i samego zabili, gdy w obronie mienia swojego chciał stawać.

„Więc rolnicy rada w radę pomiędzy sobą, jakby od napaści się bronić. Więc stawiają chaty przy chatach, więc otaczają je częstokołem lub parkanami mocnemi, młodzież swoją uzbrajają w maczugi i kosy i wzajemnie przyrzekają się bronić. Mało tego, bo czasem i ludność wioski całej za szczupła bywa do odparcia najazdu. Więc kilka wiosek sąsiednich, choć o milę od siebie odległych, zawiera z sobą przymierze, że jedna wieś drugiej na pomoc pospieszy, gdy ognie zdaleka zobaczy, na słupach wysokich pozapalane na znak. I zdarzało się teraz, że rabusie choć licznie wioskę jaką napadli, obskoczeni byli przez rolników zbrojnych, ze wszystkich stron na pomoc nadbiegających, i byli przez nich pobici, odparci i do ucieczki zmuszeni“.

*(C. d. n.)*

---

# ZIEMIE I GRODY POLSKIE.

## V.

## *Częstochowa.*

(Dokończenie.)

Tymczasem na kościele biły wszystkie dzwony, w kościele był wystawiony Przenajświętszy Sakrament. Ks. Kordecki z kalekami śpiewał suplikacye, potem położył się krzyżem przed obrazem Najśw. Panny i długo, długo się tak modlił, potem wziął Przenajświętszy Sakrament i ruszył z procesyą wokoło kościoła. Dzwony biją, lud śpiewa „Święty Boże!“ a szwedzkie armaty strzelają bez ustanku. Kordecki nieustraszony idzie śród kul i pocisków szwedzkich, za nim gromadka kalek, bo kto zdrów, stał na murze lub posługiwał w obronie. Padały kule koło Kordeckiego, waliły się koło niego mury, ale nikogo ani kule ani gruz padający nie zadrasnęły nawet.

Skończyła się procesya, a wnet ustało też szwedzkie strzelanie i pod murami klasztoru ukazali się wysłańcy Millera z ostatecznem wezwaniem do poddania, ale musieli wracać z niczem, bo Kordecki i słuchać tego nie chciał. Szwedzi więc na nowo szturm gwałtowny przypuścili, straszniejszy od wszystkich, bo i z armat ogromnych strzelali i całe ich wojsko rzuciło się z bronią i drabinami na mury. Kto spojrzał z murów na to mrowie niezliczone szwedzkiego żołnierza, jak się walił ku murom, ten już myślał, że ostatnia wybiła godzina, bo gdzież sposób oprzeć się takiej nawale!

Ks. Kordecki kazał bić w dzwony, z krzyżem w ręku stanął na murach, a z nim wszyscy zakonnicy. A panowie Zamojski i Czarniecki pilnowali armat i murów. Gdy się Szwedzi w pędzie pod mury zbliżyli, nasi ze strzelb powalili ich co nie miara, ale nowe szeregi biegną po trupach własnych braci i już przystawiają drabiny, już spinają się na mury, już nawet chorągiew szwedzka powiewała na murze. Nasi toporami sieką, z drabin spychają, kobiety rzucają kamienie i kłody z murów i rozbijają niemi napastników; wieśniak jakiś ciął kosą w chorągiew szwedzką i strącił ją z murów wraz ze Szwedem, który ją trzymał. Kordecki błogosławi obrońców krzyżem, co go trzyma ponad głowami i powtarza donośnym głosem: „Święty Boże! święty mocny!“ Daremne wysilenia Szwedów. Tysiące ich drapie się na mury i tysiące pada — aż stracili ducha i wołając: „Czary! czary!“ uciekać zaczęli. Miller się wścieka, batem pędzi żołnierzy, ale daremnie, a kula z armaty klasztornej wpada do jego namiotu i zabija mu bratanka.

I znowu z niczem wrócili Szwedzi do obozu, straciwszy z pół tysiąca zabitych.

Wszystkie te napady ciągnęły się już dość długo, bo już miesiąc prawie i grudzień się zbliżał do połowy. Stało się raz, że mieszczanin częstochowski, Jacek Brzuchański przekradł się przez obóz szwedzki do klasztoru i dał wiadomość, że Szwedom brak już prochu do strzelania, że wojska polskie zbierają się pod Stefanem Czarnieckim w coraz większej sile, że nawet już wiele Szwedów pobito, a Moskala i Kozaków pozbyto się z kraju, że Prusak także ustępuje. Ucieszyli się wszyscy tą wiadomością i już teraz ani na chwilę strach ich nie zdejmował.

Miller wysyłał wciąż oficerów swoich do Kordeckiego, żądając poddania się, a Kordecki zawsze toż samo odpowiadał, że jako przeor nie może oddać klasztoru, a jako Polak nie może zdradzić króla polskiego. Po każdej takiej odpowiedzi Kordeckiego zaczynało się strzelanie i szturmy, ale je zawsze nasi odparli.

Nadeszło Boże Narodzenie. Poczciwy Jacek Brzuchański podkradł się znowu pod klasztor i przyniósł naszym ryb na wigilię, ale o mało tego życiem nie przypłacił, bo go Szwedzi złapali i powiesić chcieli, tylko że im się okupił, więc go puścili. Ks. Kordecki postanowił uroczyście obchodzić święta Narodzenia Pańskiego, więc wysłał do Millera zakonników z żądaniem, aby w dzień tak świąteczny zaprzestali napadów. Miller pozwolił na to, ale oświadczył, że jeżeli się na św. Szczepana nie poddadzą dobrowolnie, to zniszczy klasztor ze wszystkiem.

W dzień Narodzenia Pańskiego przystrojono kościół wszelkiemi bogactwami ze skarbców, kwiatami i zielenią, ktore wydobyto z cieplarni czyli z takich sztucznych ogrodów, co się w zimie zakrywają szklannemi ścianami i ogrzewają — i wszyscy się modlili spokojnie, jakby nie było Szweda za murami. Dzwony wszystkie w cały głos się odzywały i muzyka kościelna i śpiew nabożnych, a Szwed tymczasem nie pomnąc na tak uroczyste święto, gotował się do napadu na jutro. Jakoż gdy nazajutrz Kordecki powiedział, że się nie podda, przypuścili Szwedzi szturm najstraszniejszy ze wszystkich.

Wszystkie armaty, wszyscy żołnierze — wszystko, co żyło w obozie szwedzkim, puściło się na Jasną Górę. Słońca nie było widać od dymu, mury się trzęsły od huku. „Pilnujcie dachów i murów! — wołał Zamojski. „Baczność, nie traćcie serca!“ — krzyknął Czarniecki. „Bóg z nami i Matka Najświętsza!“ — przemawiał Kordecki — i znowu co żyło, usługiwało na wałach, podając kule, znosząc kamienie, ziemię, kłody, belki. Miller wymierzył dziesięć armat w kościół i z 10 armat sypnęły się kule. Miller chciwie spojrzał, myśląc, że kościół pali się już i wali, ale opoka Jasnogórska stała niewzruszona i żadna kula szkody nie zrobiła kościołowi. W nocy spadł był śnieg gęsty, więc wszystkie kule grzęzły w śniegu. Kule szwedzkie trzaskają w dziedzińcach, a nikogo nie zabijają, nie ranią. Mieli Szwedzi jednę ogromną armatę, którą najgrubsze mury rozbijali zawsze. Z ciężkim trudem zatoczyli tego żelaznego smoka pod klasztor i wymierzyli na kościół. Kanonier zapalił lont, przyłożył, żeby wystrzelić, wtem armata pęka w kawałki i zabija kilkunastu kanonierów szwedzkich, co koło niej stali. Szwedzi w popłochu zaczęli uciekać, wołając „czary“ i nagle cicho się zrobiło — wojska szwedzkie odstępują od klasztoru, ściągają się do obozu. Ruch w obozie wielki, nasi zdumieni i niepewni, co z tego będzie, patrzą niespokojnie — ale Szwed coraz bardziej się oddala, obóz zwija, wozy zaprzęga końmi, dosiaduje koni, piechota szykuje się do marszu i wszystko oddaliło się z pod klasztoru.

Miller, mając wielu zabitych, rannych i chorych żołnierzy, widząc, że z klasztorem nie da sobie rady, zawstydzony, że zakonników nie mógł pokonać, nie ufając już wojsku swemu, które bić się nie chciało, bojąc się czarów, cofnął się, odstąpił tembardziej, gdy mu doniesiono, że wojska polskie zagrażają królowi szwedzkiemu.

Możecie sobie pomyśleć, co to za radość była na Jasnej Górze, gdy się Szwedzi oddalili. Wszyscy ściskali się i całowali z radości jak bracia rodzeni, a ks. Kordecki zawołał: „To Bóg zwyciężył i Najświętsza Panna a nie my, więc do kościoła!“ Urządzono zatem na drugi dzień wielkie nabożeństwo na podziękowanie Bogu za cudowne ocalenie.

Gdy się o tem wieść rozeszła po kraju całym, nowy duch wstąpił we wszystkich. Kto żył, chwytał za co mógł, czy pałasz, czy kosę i zaciągał się pod Czarnieckiego, który w Tyszowcach zgromadził wszystkich i tam z nimi przysiągł walczyć do ostatka za ojczyznę. Wiara wstąpiła w serca, skoro widziano, że Najświętsza Panna takim cudem osłoniła naród.

Król Jan Kazimierz wraca do Polski; 12go kwietwia 1655 roku oddaje naród polski i kraj i polską koronę pod opiekę Bożej Rodzicielki, odprawiając modły w katedrze we Lwowie i tam nazywa Najśw. Panienkę Królową Polski. Potem niedługo wszystkich wrogów wypędzili nasi i Polska odetchnęła po wojnie, pobiwszy i pokonawszy nieprzyjaciół.

W roku 1716, w sam dzień Narodzenia Maryi Panny odbyła się w Częstochowie koronacya tego cudownego obrazu, czyli włożenie korony na głowę Najśw. Panienki, jako Królowej Polskiej. Wielkie to wtedy było zgromadzenie z całej Polski i panów i mieszczaństwa i ludu wiejskiego. Nabożeństwa trwały dni ośm bez przerwy.

---

Przed dziewięciu laty, tj. 7 września 1882 r., odbył się na Jasnej Górze za poleceniem Ojca św. wielki jubileusz na pamiątkę, że w onym roku pięćset lat upłynęło od chwili umieszczenia obrazu na Jasnej Górze. Tysiące ludu ze wszystkich ziem polskich, nawet z naj-

dalszych stron, bo o mil 100 albo i więcej ściągały się do Częstochowy. Moskale, co i wiarę i mowę ojczystą zatracić pragną Polakom, że złością patrzyli na te nabożne tłumy, a bardzo wielu ludzi, zwłaszcza z naszych stron, przez granicę puścić nie chcieli.

Na ten wielki jubileusz pozjeżdżali się księża biskupi i wielu kapłanów, a byłoby ich dziesięć razy więcej przybyło, gdyby nie to, że Moskale nawet księżom wyjeżdżać wzbraniali.

Znieważyli też oni to święte miejsce nasze, bo wybudowali wpobliżu cudownego kościoła swoją schyzmatycką cerkiew, a bardzo wspaniałą o pięciu baniach czyli kopułach. Uczynili to dlatego, aby nieświadomych bałamucić i okazywać im, że ich cerkiew także do cudownego miejsca należy. Gdy się nabożni katolicy pod Jasną Górą zbierają, moskiewscy popi ściągają ich do cerkwi i do odstępstwa od wiary ojców nakłaniają.

Wznieśli też tam wielki posąg z wizerunkiem swojego cara, a nieświadomi, co pierwszy raz przybywają, myślą, że to posąg jakiegoś świętego.

Na nic nie zdadzą się te moskiewskie sztuczki, bo żaden Polak nie wyrzeknie się przez to ani wiary świętej ani ojczyzny, a każdy z nas wierzy w to święcie, że Najświętsza Panna Częstochowska, Królowa korony Polskiej, wymodli nam u Boga wybawienie ojczyzny z pod tyraństwa moskiewskiego. *Cz. P.*

# O pielęgnowaniu zdrowia.

(Ciąg dalszy).

### 2) O cieple, zimnie, wilgoci, świetle i elektryczności.

Ciepło i zimno zmienia się podług pory roku, ale i w tym samym dniu ciepłe powietrze może się nagle oziębić.

Podług ciepła należy zastosować ubranie ciała.

Kto z gorącej izby spocony wychodzi na zimne powietrze, może się zaziębić: dlatego często chorują i umierają na zapalenie płuc i na suchoty młodzi ludzie, jeżeli rozgrzani tańcem w domu lub w karczmie na mroźne powietrze wybiegają.

Dlatego też tak często i długo chorują na kaszel wiejskie dzieci, gdy rozgrzane prosto z przypiecka w zimie na dwór wybiegają.

Rozgrzany winien chwilę poczekać w miernym chłodzie, zanim na zimne wyjdzie powietrze.

Wilgotne powietrze koło stawów lub bagna jest niezdrowe, a ludzie, którzy zamieszkują taką okolicę, chorują często na zimnice.

Gdzie ściany wilgotne, tam ludzie łatwo na gościec zapadają.

Światło słoneczne potrzebne dla zdrowia człowieka. Izba powinna być jasną; w ciemnem mieszkaniu ludzie są bladzi i słabi, chorują często na oczy i są smutnych myśli.

Jak roślina bez słońca obejść się nie może, tak też i człowiek potrzebuje światła i słońca. Zbuduj większe okna, a z promieniami słońca spłynie na ciebie zdrowie i uweselenie duszy.

Ubodzy ludzie, którzy mieszkać muszą w piwnicach lub ciemnych mieszkaniach, zbrodniarze uwięzieni w ciemnych lochach często chorują i krótko żyją.

Elektryczność znajduje się w powietrzu, a w lecie podczas burzy wywiązuje pioruny. Deszcze i burze z grzmotami oczyszczają powietrze.

Gdy pioruny uderzają, unikaj przeciągu, nie stawaj pod drzewami, nie chroń się w kopy zboża, sierp i kosę odłóż na bok, bo w drzewa, kopy i żelazo często piorun uderza, a gdy jedziesz konno lub na wozie, zwolnij jazdę lub się zatrzymaj.

Kto w nocy wpatruje się w błyskawice, może wzrok utracić.

### 3) O wodzie.

Woda jest niezbędną do życia. Potrzebujemy jej do picia, gotowania potraw, do mycia i do prania.

Deszczówka jest wodą miękką; deszczówka dobra jest do mycia, prania i gotowania grochu, bobu i fasoli, ale do picia jest mdłą i niesmaczną.

Wodę ze studni i źródeł nazywamy wodą twardą, bo w niej znajdują się różne sole, które woda w ziemi rozpuszcza.

Dobra woda musi być czysta, przeźroczysta, bezbarwna i bez woni, w każdej porze ma być zimną, przyjemnego, orzeźwiającego smaku.

Najlepsze wody wypływają ze skał, w nizinach woda jest gorszą, blisko moczarów i bagien woda ma smak niedobry i nie jest zdrową, a woda ze stawów i kałuż jest szkodliwą.

Skoro woda jest konieczną dla życia, to powinno się starać o jej czystość.

Jeżeli blisko wody znajduje się gnój lub gnojówka, to części gnoju powoli przesiąkają ziemię i mięszają się z wodą, sprowadzając choroby na ludzi i dobytek.

Toż samo niebezpieczeństwo powstaje, jeżeli poidło dla bydła i koni urządzono blisko wody, bo mocz bydła i koni zanieczyszcza glebę i zatruwa wodę.

Na wielkie niebezpieczeństwo przez picie wody narażają się ludzie, gdy przy studni lub źródle pierze się pościel lub bieliznę po zaraźliwych chorych, bo zaraza udziela się wodzie i ludziom, którzy tej wody używają.

Nie pijcie surowej wody prosto ze studni, gdy w gminie chorują ludzie na czerwonkę, tyfus lub cholerę, bo te choroby najczęściej przez wodę do człowieka się dostają; należy wtedy wodę do picia w czystym

garnku przegotować przy ogniu i przykrytą trzymać w piwnicy. Chociaż gotowana woda mniej ci będzie smakować, ale bezpieczniejszym będziesz przed zarazą.

### 4) O studniach i źródłach.

Nowe studnie kopać należy zdala od stajen, gnoju, gnojówki i kanałów.

Najlepsza cembryna to gładkie, twarde kamienie. Kto robi drzewianą cembrynę, niechaj na to użyje zdrowego drzewa.

Studnie otwarte lepsze od zamkniętych, bo powietrze ma łatwiejszy dostęp i ciągle nad samą wodą jest świeże. Podczas lata trzeba jednak otwartą studnię zamykać lub nakrywać, aby proch nie leciał do wody, bo z prochem i zaraźliwe choroby tam dostać się mogą.

Koło studni dostęp wybrukować, aby nieczystości przyniesione na nogach i obuwiu nie wsiąkały w rozmoczoną ziemię; koło samej studni bruk niechaj będzie wyższy, aby był łatwy odpływ od studni.

Woda studzienna jest zawsze podejrzanej dobroci, jeżeli z powierzchni ziemi przez wierzch lub cembrynę przechodzi do studni deszczówka lub woda z roztopionego śniegu.

Poidło dla koni i bydła urządzić trzeba w odległości najmniej 6 metrów od studni i odpływ od poidła tak urządzić, aby mocz zwierzęcy ani się nie zatrzymywał przy poidle, ani też do studni nie przechodził.

Koło studni i źródeł przestrzegać największej czystości. Przyjemniej ci będzie napić się czystej wody, niż wody, w której masz gnojówkę lub inne nieczystości.

Nie dozwalajcie prać bielizny lub pościeli blisko studni, bo woda się zanieczyści i wywołać może zaraźliwą chorobę.

Jeżeli czerpiesz ze studni wodę, wprzód obetrzej całą konewkę na czysto, a osobliwie jej dno, do którego mogą być przylepione zaraźliwe prochy, jeżeli konewka pochodzi z chaty, gdzie leżeli lub leżą chorzy na zaraźliwe słabości. Szczególniej o tem pamiętajcie, gdy w gminie chorują na cholerę, tyfus albo na czerwonkę.

### 5) O czyszczeniu studzien.

Czyszczenie studzien i źródeł odbywać się winno dwa razy w roku: pierwszy raz na początku maja lub w końcu kwietnia, gdy po stopionym śniegu powierzchnia ziemi obeschnie, bo wtedy nieczystości z całej zimy koło studni nagromadzone gnić zaczynają i do studni przeciekają, a drugi raz w jesieni, aby wyczerpać razem z wodą wszystkie prochy dla zdrowia szkodliwe, których przez lato dość się nasypało do studni lub do źródła.

Podczas oczyszczania studni trzeba naprzód oskrobać i obmyć cembrynę do czysta, wodę wyczerpać aż do dna i namuł zupełnie usunąć.

Pruchniejącą drzewianą cembrynę zawczasu odmienić na zdrową. Jeżeli w cembrynie rosną grzyby, mchy lub inne rośliny, zaraz je trzeba usunąć.

Nie wrzucajcie nic do studni, coby wodę zanieczyścić mogło.

Jeżeli dla poprawy wody dajecie na spód studni drzewiane węgle, niech one będą dobrze wypalone.

Człowiek ze zdrowym rozumem i z dobrem sercem nie zrobi nic na swoją szkodę lub na szkodę bliźniego, nikt więc naumyślnie nie będzie zatruwał wody, wrzucając do studni kota lub psa. Gdyby zaszedł taki wypadek, należy padlinę zaraz wydobyć i studnię wraz z cembryną dokładnie wyczyścić.

Gdy w zimie czerpana woda koło studni zamarznie tak, że niekiedy lód sięga do brzegu studni, trzeba go wyrębywać i usuwać, aby kto nie wpadł do studni, albo nie złamał ręki lub nogi. *(C. d. n.)*

*Dr Józef Barzycki.*

---

## Wiadomości polityczne.

*Rzym.* Papież Leon XIII zamierza założyć wielki zakład przemysłowy dla kilku tysięcy robotników, aby w ten sposób także praktycznie pokazać, jak chrześcijanie obchodzić się powinni z robotnikami. Ów zakład przemysłowy ma pozostać własnością Papieży.

*Austrya.* Dnia 26 b. m. rano przybył Naj. Pan do stolicy Czech Pragi dla zwiedzenia wystawy, o której już pisaliśmy w *Krakusie*. Cesarza powitano gorącemi okrzykami *slava! i hoch!* co się na język polski tłumaczy „Niech żyje". Burmistrz miasta Scholz powitał Najj. Pana przemową wypowiedzianą naprzód po czesku, potem po niemiecku. Cesarz odpowiedział po niemiecku a później po czesku. Między innemi rzekł: „Z zajęciem śledzę rozkwit królewskiej tej stolicy (Pragi) i mam nadzieję, że piękna wasza wystawa będzie bodźcem do dalszej narodowej pracy waszej i wyjdzie na pożytek miastu i krajowi." Obecni przyjęli przemówienie cesarza gromkim okrzykiem „slava". Od dworca kolei aż do królewskiego zamku na „Hradczynie" były wszystkie ulice zapełnione publicznością, a gdy cesarz temi ulicami przejeżdżał, to go ciągle witano okrzykami „Slava!"

Wjazd na zamek Hradczyński, który czytelnicy *Krakusa* znają już z rysunku i opisu, z powodu natłoku ludności odbył się zwolna, krok za krokiem. Cesarz widząc między publicznością dużo dzieci, rzekł do namiestnika: „Szczególnie mnie cieszy, że taka znaczna liczba dzieci zjawiła się o tak rannej porze na moje

powitanie. Szczera radość tych dzieci cieszy mnie.“

Kolo godziny drugiej po południu pojechał Najj. Pan na plac wystawy. U wejścia powitał cesarza prezydent wystawy hr. Kinsky. Najj. Pan odpowiedział: „Oby powodzenie Wystawy, która pozostaje pod *moją opieką*, obudziło wśród czeskiej ludności zapał do wytrwałej dalszej pracy około podniesienia dobrobytu kraju!“

Najj. Pan powołał Radę państwa do rozpoczęcia obrad w Wiedniu na 8 października. Wskutek tego prezydyum Izby poselskiej rozesłało już posłom tak zw. „porządek dzienny“, czyli spis tego, o czem mają posłowie radzić. Otóż na porządku dziennym między innemi, mieszczą się następujące sprawy: oznaczenie odszkodowania dla tych, co niewinnie zostali zasądzeni i karę odsiedzieli, — wydanie nowej ustawy dotyczącej ulg podatkowych dla budynków przeznaczonych dla robotników, — wydanie nowej ustawy dla gazet i pism, i t. d.

Prezydent ministrów hr. Taaffe, który był bardzo chory, ma się już lepiej i niebawem — jak zapewniają lekarze — będzie mógł wstać z łóżka.

*Niemcy.* Kanclerz Kapriwi miał mowę z powodu uroczystości pierwszego pułku piechoty w mieście Osnabrik, w której zaznaczył, że żadne z państw europejskich nie życzy sobie obecnie wojny i że spokój długo utrzymywanym będzie.

Dzienniki zaś niemieckie donoszą, że cesarz Wilhelm zażąda od parlamentu nadzwyczajnego i dość znacznego kredytu na cele wojskowe. Wysokość sumy jeszcze nie jest ściśle oznaczoną. W każdym razie źle to wróży o pokoju, który ciągle potrzebuje wydatków na wojsko.

W jednym z porzednich numerów donosił *Krakus* o odwiedzinach cara w Danii, po których spodziewano się, że car odwiedzi w Berlinie niemieckiego cesarza Wilhelma, który jak wiadomo był niedawno w gościnie u cara w Petersburgu. Na dworze duńskim aż do ostatniej chwili odjazdu cara, program jego podróży w głębokiej zachowywano tajemnicy; kiedy nareszcie rozeszla się wiadomość, że wybrano najkrotszą drogę przez Berlin, Toruń, Aleksandrowo i Warszawę, wszystkim nasunęło się na myśl pytanie: czy i gdzie na całej tej linii spotkają się car Aleksander z cesarzem Wilhelmem. Jednak stało się inaczej, gdyż car odłożył swoje spotkanie się z cesarzem na później, a obecnie przejechał tylko przez Berlin, zatrzymując się w nim tylko na stacyi kolejowej dla spożycia obiadu.

Już cale wojsko niemieckie zostalo zaopatrzone w nowe strzelby magazynowe, które przed kilku laty zaczęto w Niemczech wyrabiać. Strzelby te są lżejsze od dawnych i niezmiernie szybko strzelają, bo jak się raz je nabije, to kilkanaście strzałów dać z nich można.

*Rosya.* W Petersburgu odbywają się dniem i nocą wojskowe ćwiczenia balonowe. Dalej donoszą dzienniki, że rosyjska flota ochotnicza otrzymala rozkaz przewiezienia w ciągu najbliższych pięciu tygodni 10.000 żołnierzy z Kaukazu do Sewastopolu i Odessy.

Pomiędzy Anglią a Rosyą zaszedł podobno zatarg z następującej przyczyny: Pewien Anglik pojechał w celach naukowych do środkowej Azyi. Gdy podróżnik ten chciał się udać do górskiej płaszczyzny, którą nazywają Małym Pamirem, Moskale zabronili mu dostępu mówiąc: Panie bracie, tam nie pójdziesz, bo to nasze i my tam panujemy. Zkąd Moskale do takiego rozumowania przychodzą, to łatwo zrozumieć, jeśli się wie, że panowanie Moskali sięga daleko poza granice właściwej Rosyi — aż do wielkich obszarów posiadłości w Azyi. Gdy jednak popatrzymy na kartę geograficzną, gdzie ten Pamir leży, to musimy przyznać, że Moskalę trochę zanadtoby się chcieli rozpościerać. Cóż to zresztą szkodziło Moskalom, że ów Anglik, pragnący nowości, zapuścił się w tak dalekie strony. Świat taki wielki, a jednak ludziom jeszcze za mały, kiedy się kłócą o byle kawałek ziemi nawet w najodleglejszych stronach.— Równocześnie zwraca jedno z pism angielskich uwagę na wyprawę rosyjską na Pamir, przedsięwziętą w celach niby geograficznych, to jest zwiedzenia i opisania kraju, pod wodzą podpułkownika Grąbczewskiego. Dziennik ten szczególnie zastanawia się, dlaczego wyprawa ma z sobą 600 żołnierzy (piechoty i kozaków), oraz dwa działa, kiedy ludność pamirska nie przeszkadzała nigdy poprzednim wyprawom. Rozważając powyższą sprawę, dziennik angielski zaznacza, że wzmiankowany Pamir rozciąga się od obecnych posiadłości rosyjskich aż do granicy posiadłości angielskich w Indyach i jak pisze: „droga przez Pamir jest najbliższą od Syberyi i Turkiestanu wschodniego do prowincyi kaszmirskiej w Indyach; pozostaje więc oczekiwać wiadomości, czy Rosyanie po wyprawieniu tam tak znacznych sil wojskowych, nie będą się w owych krajach oddawali innym jakim celom“, to znaczy czy nie będą chcieli osadzić tam swego wojska i ludność źle przeciw Anglikom usposobić.

Z powodu coraz groźnniejszych wieści o niedostatku i głodzie, panującym w Rosyi, podjął minister skarbu Wyszniegradzki podróż do okolic dotkniętych nieurodzajem, aby się osobiście o stanie rzeczy przekonać. Widocznie przekonał się minister, że jest źle, skoro z rozporządzenia jego postanowiono jeszcze w tym roku, (aby dać zarobek ginącej z głodu ludności), przystąpić do budowy wszystkich projektowanych kolei, mających łączyć miejscowości handlowe w cesarstwie z istniejącemi już liniami.

*Włochy.* Włoscy rewolucyoniści i nieprzyjaciele Kościoła katolickiego gniewają się bardzo z tego powodu, że francuscy robotnicy urządzili tak świetną piel-

grzymkę do Rzymu. Postanowili więc zorganizować się i przez demonstracye czyli wybryki różnego rodzaju pielgrzymom przeszkadzać. Gdy jednak zeszli się na zgromadzenie, zwołane w celu obradowania nad tą sprawą, przyszło do takiej kłótni, że zebrani zaczęli rzucać palącemi się lampami na siebie. Widać, że ich Pan Bóg skarał i odebrał im rozum, aby ich niecne zamiary nie przyszły do skutku.

*Francya.* Pewien uczony Francuz napisał w jednej z gazet francuskich bardzo zajmujący artykuł, w którym wyraża swoje zdziwienie nad tem, że Francya tak się zapala teraz do Rosyi. Francuz ten powiada, że stosunki pomiędzy Francyą a Rosyą nigdy nie były przyjacielskie, i że obecna przyjaźń też znajduje się na bardzo niepewnej podstawie. W końcu swego artykułu wypowiada ów Francuz następujące ważne zdanie: „Możemy wszystko zapomnieć Rosyi, cośmy złego od niej doznali w dawniejszych czasach, ale nie możemy jej pomimo to prędzej podać ręki do zgody, póki Rosya nie zmieni swego postępowania wobec Polaków. Polacy pokładali zawsze we Francuzach nadzieję; dlatego też Francuzi nie powinni się łączyć z wrogami narodu polskiego. Jeżeli Rosya wypełni wobec Polaków akt sprawiedliwości i ludzkości, w takim razie będziemy mogli z całego serca zawołać: „Niech żyje Rosya“. Tymczasem zaś: „Boże zbaw Polskę!“

*W Rumunii* ma się zanosić na niezwykłe rzeczy. Król Karol, który bawi, jak wiadomo, przy boku ciężko chorej żony we Włoszech, objawił podobno wobec najbliższego swego otoczenia chęć abdykacyi, to jest zrzeczenia się tronu. Rząd rumuński był już poniekąd na to przygotowany. Już tydzień temu, minister spraw zagranicznych Esarcu odebrał od prezydenta ministrów, generała Florescu, który się znajduje w towarzystwie króla, wiadomość o przygnębieniu i postanowieniu monarchy.

*Z Chin* możemy się w krótkim czasie spodziewać smutnych niestety wiadomości, gdyż tam wre jak w kotle. W dolinie pewnej rzeki, którą trudno wymówić (nazywa się ona Jangtsekiang) przygotowuje się pogański motłoch do powstania przeciw chrześcianom.

*W Stanach Zjednoczonych* Północnej Ameryki panuje teraz powszechny ruch, gdyż tam będą wybierali nowego prezydenta.

---

## Rady gospodarskie.

---

### Czy mamy utrzymywać konie czy woły do roboty?

Widzimy, iż w niektórych okolicach utrzymują gospodarze przeważnie konie, w innych znowu woły do roboty, a zdarza się również, iż tak jedne jak i drugie zwierzęta robocze używane w tej samej miejscowości, nasuwa się więc często pytanie, które z nich są pożyteczniejsze dla rolnika?

Różnica między niemi leży w tem, że koń załatwia każdą czynność prędzej i nadaje się wskutek tego lepiej do roboty broną, która musi być wykonana przy ruchu nieco szybszym, przedewszystkiem zaś przydatnym jest do wszelkich dalszych wyjazdów i transportów czyli dostaw; wymaga jednak więcej i posilniejszej paszy, utrzymanie więc jego kosztuje znacznie więcej. Główną wszakże wadą konia roboczego jest ubytek jego wartości, który po piątym już roku staje się coraz znaczniejszym, nareszcie w późniejszym wieku koń nie jest już przydatnym do niczego i musi być przedanym po cenie skóry i kości.

Wół przeciwnie daje pracę powolną, chociaż wytrwałą i silną, nadaje się mniej do roboty bronami, a już wcale nie jest odpowiedni do dalszych przewozów, tak ze względu długiego czasu, jakiby do tego był potrzebny, jak oraz dla łatwości podbiacia sobie nóg na drogach twardych, gdyż kucie racic nie jest jeszcze u nas rozpowszechnione. Natomiast wyżywienie wołu jest o wiele tańsze i łatwiejsze; obywa się on bez owsa, zadawala się przy pracy dobrem sianem lub koniczyną, a w lecie trawą zieloną, w zimie zaś żywi się w znacznej części słomą z dodatkiem siana lub otrąb. W przeciwieństwie zaś do konia, główną jest jego zaletą, że nie traci z czasem nic na swej wartości pieniężnej, gdyż utrzymany dobrze, może być sprzedany na opas nawet w starszym już wieku po cenie wyższej, aniżeli kosztował w chwili zakupna.

Wybór zatem w utrzymaniu koni lub wołów do roboty zależy głównie od stosunków miejscowych.

Gdzie zarobek końmi jest łatwy, to jest, gdzie po ukończeniu pracy przy roli można wynajmować je do przewozu zboża, drzewa, węgli i t. p. przedmiotów, tam koń jest stosowniejszy, albowiem zdala po za gospodarstwem zapracować może na utrzymanie swoje, a nawet dać jakiś dochód uboczny. Na wybór ten wywiera również wpływ i rodzaj hodowli w tej okolicy, gdyż jeżeli stacye ogierów rządowych są niedaleko, a nabyć możemy łatwo silne i rosłe klacze robocze na matki, to przychowek źrebiąt, prowadzony umiejętnie, stać się może korzystnym. Nareszcie bydło pewnych okolic naszych, szczególnie na nizinach i blisko miast, pochodzi przeważnie od rasy holenderskiej, czarno lub popielato-srokatej, a lubo krowy tej rasy dają dużo, chociaż niezbyt tłustego mleka, woły jednak od nich mniej są przydatne do roboty i nie upasają się tak łatwo, jak woły ras górskich, czerwono-srokate. Woły znowu podolskie, siwe i węgierskie zwane sojkami, są do roboty bardzo dobre, ale szukać je trzeba w odpowiednich często dalekich okolicach, a przytem woły węgierskie nie są także łatwe do wypasania. Z tych więc powodów, wśród większego

ruchu przewozowego, przy upowszechnionej w pewnej okolicy hodowli koni i w razie przewagi bydła pochodzącego z rasy holenderskiej, nie trzymamy zwykle do roboty wołów, mając lepszy pożytek z koni.

W innych znowu miejscowościach, szczególnie w górach, gdzie zarobek uboczny końmi mniej jest łatwy, a stacye ogierów dalekie, gdzie z powodu większych pastwisk na wyżynach upowszechniona jest hodowla bydła, a zatem łatwiejsza zdarza się sposobność nabycia młodych, dobrych wołów czerwono-srokatych lub burych i czarnych przydatnych do pracy, gdzie zresztą siano i trawa nie są zbyt drogie, a owies kosztuje zwykle więcej aniżeli na nizinach, tam użycie wołów do roboty jest niewątpliwie korzystniejsze aniżeli utrzymymywanie koni, które oprócz kosztowniejszego żywienia i wspomnianej już wyżej straty na swej wartości, mniej byłyby użyteczne do wyciągania ciężko ładowanych wozów pod górę i w krótkim czasie zrywałyby sobie nogi.

W podobnych więc położeniach, czyli stosunkach miejscowych, łatwo można zrobić wybór między końmi lub wołami, które chcemy utrzymywać do roboty gospodarskiej. Są jednak okolice, w których po za obrębem gospodarstwa niema stałego zarobku dla koni, a nabycie wołów górskich nie jest zbyt trudne. W wypadkach podobnych należałoby zwrócić większą uwagę na bardzo ważne korzyści, jakie dają woły, a przedewszystkiem z tego powodu, iż nie tracą z czasem na swej wartości. Gdyby w jednej wsi niektórzy gospodarze utrzymywali woły, inni zaś konie, to mogłaby nastąpić wymiana roboty w ten sposób, iż za orkę wołami uzyskiwałoby się od sąsiada bronowanie końmi, lub wywiezienie zboża na targ i t. p. czynności. Zresztą bronowanie wołami, lubo powolne, nie jest jednak złe i w wielu razach może być wystarczające. Mniemanie, że woły potrzebują przy pługu koniecznie poganiacza, nie jest słuszne o ile to odnosi się do roboty jedną parą, gdyż przy dobrem i cierpliwem obchodzeniu się z wołami posłusznemi są one głosowi ludzkiemu równie dobre jak konie lejcom, przy zagrzęach zaś poczwórnych potrzeba i do koni poganiacza.

Wspomnieć również należy, że w niektórych krajach, jak n. p. w Czechach, na Szląsku i Morawach gospodarze mniej zamożni zaprzęgają także krowy do pługa i do wozu. Postępowanie takie może być także korzystnem, byle krowy użyte były ostrożnie, niezbyt forsownie i w czasie odpowiednim, to jest wtedy, gdy nie dają już dużo mleka, ani też są ciężko cielne. Łagodne postępowanie jest tu jeszcze potrzebniejsze, aniżeli przy użyciu wołów lub koni, a robota nie powinna trwać dłużej jak połowę dnia. Krowy cielne nie należy również zaprzęgać do bron, gdyż szarpanie ich może spowodać porzucenie cielęcia.

Co do ilości morgów, jaką jeden koń lub wół w ciągu roku obrobić powinien, to jeżeli niema zajęcia ubocznego, rachuje się na 1 konia 10 do 15 morgów, czyli 20 do 30 morgów na parę koni, a 15 do 20 morgów na parę wołów; na gospodarstwie zatem, obejmującem 10 morgów, można już trzymać dla własnej potrzeby stale jednego konia, a na 20-morgowem parę koni lub wołów. Tym sposobem będzie wszystko zrobione na czas i jeszcze znajdzie się wolna chwila, w której można zorać sąsiadowi. Stałe utrzymywanie zaprzęgów jest zawsze pożyteczniejsze, aniżeli chwilowe, gdyż sprzedają w jesieni a kupując na wiosnę pozbywamy często zwierzę bardzo przydatne do roboty, a nabywamy nieraz chore lub znarowione.

Rachując zatem, że 3 do 4 morgów pola wystarzwykle na utrzymanie jednej dorosłej sztuki bydła, możemy przy gospodarstwie 20-morgowym trzymać stale przynajmniej 3 krowy i dwoje cieląt, oraz parę koni lub wołów.

*A. Lippoman.*

## Rozmaitości.

**W Trewirze**, gdzie jest wystawiona święta Szata Pana Jezusa, zdarzył się następujący wypadek:

Dziewczynę 20-letnią prowadzono do św. Sukienki. Była tak słabą, że matka i brat na pół ją nieśli w powietrzu. Od lat 15 tu leżała prawie bez ustanku w łóżku. Od tej godziny zaczęła się modlić i pościć, aby się przygotować na dotknięcie relikwii. W sobotę rano o godz. 5tej przystąpiła do Komunii św. Po pierwszem dotknięciu Sukni Pana Jezusa nie czuła żadnego polepszenia i matka prowadziła ją dalej. Dziewczyna prosiła, żeby ją zaprowadzono po raz drugi. Ale i teraz nie było jej lepiej. Po kilku minutach przypuszczono ją do św. relikwii po raz trzeci. Tu dziewczyna zemdlała i padła bez duszy na ziemię. Matka w krzyk: moje dziecko umiera. Powstaje zamieszanie. Jeden z kapłanów zaczął się głośno modlić. Jako też po dwóch minutach dziewczyna przyszła do siebie, podniesiono ją, puszczono i zeszła po marmurowych schodach o własnej mocy.

Gazety niekatolickie nie chcą temu cudownemu zdarzeniu dać wiary, lecz powiadają, że to tak ze wzruszenia nastąpiła zmiana w zdrowiu dziewczyny. Radzimy, żeby te gazety zaprowadziły taki zakład wzruszający i leczyły chorych bez lekarstwa.

**Piszą ze Szwajcaryi**: Od trzech tygodni przez Szwajcaryę przeciągają coraz liczniejsze gromadki wychodźców wracających z Brazylii do Królestwa Polskiego. Okręty niemieckie nie chcą zabierać z Brazylii tych, którzy nie pokażą, iż mają dość pieniędzy na to, aby od Bremy powrócić na swój koszt koleją żelazną do granicy swego kraju, gdyż Niemcy nie chcą tym biedakom dawać później wsparcia i odsyłać ich za darmo. Dlatego też wielu stara się dostać na okręty francuskie, któremi dopływają do miasta francuskiego Marsylii, a ztamtąd idą pieszo przez Szwajcaryę i Austryę. Między powracającymi jest sporo kobiet i dzieci. Wszyscy jednozgodnie opowiadają, że ci wychodźcy, którzy jeszcze pozostali w Brazylii, mają chęć powrotu do

kraju większą, aniżeli dawniej mieli chęć wyjazdu do Brazylii. Setkami włóczą się po przystaniach i wybrzeżach, szukając sposobu dostanie się do Europy. Jeden opowiadał, iż kilkunastu wychodźców, przechadzając się po raz pierwszy po brzegu morskim, nagle spostrzegło, że woda cofa się od brzegów; sądzili więc, że to Bóg wysłuchał ich prośby i zaczyna morze osuszać. Ucieszyli się niezmiernie i zaczęli się wybierać w pieszą podróż do domu. Nie wiedzieli biadacy, że na brzegach morskich zawsze co sześć godzin woda cofa się dość daleko nawet; a potem przez sześć godzin znowu powraca do brzegów i zalewa je na znacznej przestrzeni i tak codziennie w kółko. Otóż gdy woda zaczęła ku brzegom powraać, wychodźcy niezmiernie się zmartwili, a tego, który pierwszy powiedział, że morze wysycha, omal nie zabili.

Z Genewy koleje szwajcarskie przewiozły już darmo 52 osób do granicy austryackiej, dawszy im na drogę dalszą trocha jałmużny zebranej. Z miasta Marsylii donoszą, że znowu przyjechało tam okrętem przeszło 150 osób powracających z Brazylii.

**Powrócił** świeżo do Warszawy Karol Wolski, który na wiosnę zeszłego roku wyjechał do Brazylii z żoną i trojgiem dzieci. Przed wyjazdem za morze był on starszym robotnikiem w warsztatach drogi żelaznej w Warszawie, oraz współwłaścicielem domu na przedmieściu, ale wyrzekł się tego wszystkiego goniąc za urojonem bogactwem. Dziś wrócił samotny, bo wszystkich swoich pogrzebał w obcej ziemi, a z 2700 rubli, które wywiózł z kraju, zostało zaledwie tyle, ile trzeba było na koszta powrotu.

**Nowy środek zabezpieczenia pszenicy od śnieci.** Jak wiadomo, zwyczajnie używa się sinego kamienia, jako środka zabezpieczającego pszenicę od śnieci. Otóż w niektórych krajach, a przedewszystkiem w Siedmiogrodzie, zamiast sinego kamienia, parzą nasienie pszenicy wrzącą wodą. Tego samego środka używają tam także do zniszczenia śnieci w prosie i kukurydzy, a środek ten okazał się zawsze skutecznym. Parzenie wrzącą wodą nie może jednak trwać dłuższy czas jak tylko 3—4 minuty, gdyż po dłuższem parzeniu zniszczy się śnieć, ale też i kiełek zbożowy mógłby ucierpieć. Zrobione w tym kierunku przezemnie próby wykazały, że na 100 ziarn pszenicy parzonych wrzącą wodą przez 3 minuty pokiełkowały wszystkie 100; na 100 ziarn pszenicy, parzonych wrzącą wodą przez 4 minuty pokiełkowały wszystkie 100; na 100 ziarn pszenicy, parzonych wrzącą wodą przez 5 minut, pokiełkowało 60; 100 ziarn pszenicy, parzonych wrzącą wodą przez 6 minut, nie pokiełkowało żadne. Doświadczenie to każdy gospodarz u siebie może powtórzyć.

Dlatego też przy użyciu tego środka należy zachować ostrożność, ażeb nasienie pszenicy nie dłużej parzyć jak 3—4 minut, poczem wodę natychmiast zlać należy. Do parzenia pszenicy potrzeba na 100 litrów ziarna 50 litrów wody i z tego powodu sposób ten tylko w mniejszych gospodarstwach mógłby być zastosowany przy zachowaniu wyżej wymienionych ostrożności.

*S. W.*

## Fraszki.

Pewien chory, leżąc już bardzo długo, pyta się swojego znajomego:

— Bądź tak dobry i poradź mi, co mam ze sobą zrobić. Leżeć już nie mogę, ale nie mogę również wstać, ani siedzieć.

— Pozostaje jeszcze jedno położenie.

— Jakież, zmiłuj się.

— Powieś się.

---

— Więc wyście słyszeli, jak mnie młynarz Pytlik nazwał gałganem?

— Tak jest, panie, on nam chciał to nawet dać na piśmie.

— I uczynił to?

— Nie, bo myśmy mu na słowo uwierzyli.

---

Pewien człowiek powiesił się na sęku brzozy pod pachami i wisiał w tem położeniu. Przechodzi jego sąsiad pod drzewem, a zobaczywszy go, pyta:

— A cóżeś ty najlepszego wymyślił?

— Powiesiłem się; życie mi zbrzydło.

— A czyż to się tak wiesza? Przecież nasamprzód powinieneś zrobić pętlicę, a następnie powiesić się za szyję.

— Ba, próbowałem tak, ale wtenczas nie mogłem oddychać.

### W śledztwie.

Sędzia: Gdzieś się rodził?

Oskarżony: Na wsi.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia ośm.

— W małżeństwie?

— Tak jest.

— Z kim?

— Z kobietą.

— Nie pleć mi tu głupstw; wszyscy żyją w małżeństwie z kobietami.

— Przepraszam wielmożnego trybunału, ja mam naprzykład siostrę, która żyje w małżeństwie z mężczyzną.

---

## Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 29 września.

Płacono za pszenicę białą od 11.25 do 11.90 złr., za czerwoną od 11.— do 11.80 złr., za żółtą od 10.80 do 10.75 złr.; za żyto od 9.75 do 10.50 złr.; za jęczmień browarny od 8.— do 9.— złr.; na paszę od 7.25 do 7.60 złr.; za owies od 6.25 do 6.50 złr.; Rzepak od —.— do —.—. Wszystko za 100 kilogramów.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

*Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zajerestrowanej z ograniczoną poręką".*

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.